

GŁOS SENIORA



Opalony Wierch (2115 m) z grani Opalonego. Z prawej niższy wierzchołek (2094 m). Fot. Janusz Vogel

BYLI CZY NIE BYLI?

Pojawianie się wielkich dzieł monograficznych lub słownikowych selekcjonuje i porządkuje naszą wiedzę górską, zarazem jednak odśladają jej słabe ogniwa. Tak było z tomami „Tobiczyka”, tak jest z WET Paryskich, tak z pęczniącymi od treści księgami WEGA Jasia i Małgosi Kiełkowskich. W miarę jak sięgamy do tych opracowań, pojawiają się na ich marginesach pytanki i dopiski, trudno bowiem, żeby przy takim zmasowaniu informacji ktokolwiek mógł się ustrzec usterek. Ostatnio w III księdze WEGA przybyły nam dwa znaczki przy grani Miedzianego. Warto poświęcić im nieco uwagi, gdyż obie kwestionowane informacje, gdyby je uznać, wniosłyby do historii taternictwa XIX wieku nowe istotne treści.

I tak z hasła „Opalony Wierch” wynika, że pierwszego wejścia na niższy wierzchołek tego szczytu dokonał zespół Jana Grzegorzewskiego w styczniu 1894 roku. Opisy tego autora są tak pokrętne, że bez wódki lepiej do nich nie sięgać – gdyby jednak przyjąć jego rzekome wejście za fakt, byłaby to pierwsza polska wspinaczka zimowa na wysoki szczyt – chronologicznie i technicznie niemal dorównująca wyczynom Wundta. A pamiętajmy, że uczestnicy wyprawy nie dysponowali doświadczeniem zimowym, nie mieli czekanów ani raków a dzielna panna Pisarzewska odziana była w spódnicę. W „Almanachu Tatrzańskim” Grzegorzewski pisze na s. 106: „Czepiając się dobroczynnych krzaków kosodrzewiny, w kwadrans potem sięgnąłem wierzchołka Miedzianego i połączyłem się z resztą towarzystwa, z którym już razem ruszyliśmy w dół po za Świstówkę i zaraz po południu stanęliśmy na Opalonym Wierchu.” W „Pamiętniku TT” 1894 (s.103) mamy inne słowa: „Łańcuch gór, oddzielający dolinę Rostki od Białki, przeszliśmy nie zwykłym szlakiem letnim w północno-wschodnim, lecz w południowo-zachodnim kierunku, t.j. nie przez Świstówkę, lecz przez grań Miedzianego, a przeszliśmy z największym dla nas niebezpieczeństwem”. W tabelce na s.105 Grzegorzewski podaje za przewodnikiem Eljasza wysokość „Opalony 2229 m”, co jest równe kocie Miedzianego (Opalony Wierch w r. 1876 nie został pomierzony). Cóż o tym myśleć, zwłaszcza, że kosówki w rejonie grani Miedzianego być nie mogło? Grzechem wszystkich historyków tatrzańskich było (i jest dzisiaj) traktowanie siatki nazw jako czegoś stałego i istniejącego od niewiadomo kiedy. Tymczasem na mapach, jakie miał do dyspozycji Grzegorzewski, dzisiejszy Opalony Wierch zwany był Świstówką, natomiast nazwa „Opalony Wierch” widniała przy... Czubie. Jeszcze w r. 1910 prof. Ludomir Sawicki (Ziemia 1910 z.23 s.357) używa dla Opalonego Wierchu określenia „szczyt 2095 m grzbietu Miedzianego”. Obecne miejsce nazwie „Opalony Wierch” przyznał dopiero Chmielowski w roku – znów mały jubileusz – 1908. W potocznej mowie Świstówką było – tak jak dziś – siodło na ścieżce z Doliny Pięciu Stawów do Morskiego Oka. Na szczęście w sprawie wejścia mamy rozstrzygający argument archiwalny. Otóż w „Taterniku” 1909 na s.134 Węgier Jenő Serényi podał, że Grzegorzewski z tow. i przewodnikami wszedł 22 stycznia 1894 na Miedziane. Niebawem sprostował to Janusz Chmielowski, pisząc kategorycznie: „Miedziane. Ani główny wierzchołek (2238 m.) Miedzianego, ani Szpigla-

kich wąwozów” – Deep Gorge Country (wg WEGA, część Gór Chińsko-Tybetańskich) z najwyższym (niezdobytym?) Kawagebo (lub Kang Karpo) 6740 m. Trzecia część poświęcona jest położonemu na wschód od Namcha Barwa pasmu zwanemu Kangri Garpo, kulminującemu w Ruoni (6882 m). Ciekawym opisom dotyczącym geografii i eksploracji regionu towarzyszą przejrzyste mapy a także przeszło setka przepięknych zdjęć. Nie wdając się w niuanse dotyczące podziału gór, wypada tylko stwierdzić, że opisywany przez Nakamurę jeden z najmniej znanych rejonów Azji Wysokiej może być rajem dla eksploratorów-estetów. Dziesiątki niezdozobytch sześć-ciotysięczników o wyjątkowo elegantnych formach (tytuł Alpy Tybetu jest wyjątkowo celny) powinny być wystarczającym powodem do zastanowienia się nad zorganizowaniem wyjazdu w te okolice. Nakamura informuje również o kosztach takiego przedsięwzięcia. Wydaje się, że polscy alpinści powinni zwrócić uwagę na ten wspinaczkowy raj.

To samo wydawnictwo obdarzyło nas w 2006 roku książką Michaela Brandtnera poświęconą Minya Konka (7566 m). Zdobycie tego wysokiego szczytu przez Amerykanów w 1932 roku było jednym z największych sukcesów międzywojennego himalaizmu. Książka – wydana pod tytułem „Minya Konka. Schneeberge im Osten Tibets” – jest gruntowną i bogato ilustrowaną monografią szczytu. Oprócz części ogólnej, autor przypomina ważniejszych eksploratorów tego ciekawego regionu i omawia dzieje alpinistyczne masywu. Do 2002 r. odnotowano 8 wejść, dokonanych kilkoma drogami. Jeden z rozdziałów poświęcony został Amnye Machen (Amne Maczen) 6287 m. Starsi Czytelnicy Głosu Seniora pamiętają, że około pół wieku temu szczyt ten próbowano krewać na górę wyższą od Mount Everestu. Książka (cena 36,90 euro) jest wspaniale ilustrowana, wyposażona w liczne mapy, zestawienia, słowniczek i literaturę. Wraz z dziełem Nakamury wydatnie wzbogaca ona naszą wiedzę o tym ciekawym i ciągle nieznanym regionie Azji. Mimo wszechobecnej komercji na rynku książek górskich, wciąż pojawiają się na szczęście dzieła naprawdę wybitne.

Marek Maluda

LUDZIE GÓR

● Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o tym, że 9 października w wieku 83 lat zmarła w Katowicach Barbara Motiatuk – przez z górą pół wieku jedna z najpopularniejszych postaci śląskiego środowiska klubowego. Tatry długo były jej drugim domem, a później weterani taternictwa najbliższymi przyjaciółmi. Obszerniej pożegnamy ją w jednym z najbliższych numerów. ● N.N. Vohra, były prezes Indyjskiej Federacji Górskiej i oddany działacz UIAA – m.in. członek jej ścisłego zarządu – został mianowany gubernatorem trudnego politycznie stanu Jammu i Kaszmiru. Na góry nie starczy mu teraz czasu, a szkoda, bo był świetnym łącznikiem między UIAA a krajami będącymi wódcami Himalajów. ● W „Gazecie Wyborczej” z 24 października 2008 ukazało się anonimowe wspomnienie o naszym przedwcześnie zmarłym przyjacielu Marku Nowickim (1947–2003). O latach jego górskich fascynacji i działalności w KW i PZA nie wspomniano, tekst mówi tylko o zaangażowaniach politycznych i społecznych. ● 17 listopada minęło pięć lat, odkąd opuścił nasze grono niezapomniany Maciej Mischke. O zmierzchu tego dnia uczciliśmy jego pamięć, zbierając się gromadką przy jego grobie na cmentarzu Salwatorskim. (*Barbara Morawska-Nowak*) ● Popularny kapłan i ratownik, dominikanin o. Leonard Węgrzyniak z Wiktorówek, po 35 latach pracy na Podhalu i w Tatrach wraca na lepiej służące jego zdrowiu niziny. Pamiętamy go choćby z obsługi duszpasterskiej naszych zlotów na Rąbanisku i nad Morskim Okiem. O uroczystym pożegnaniu księdza w Małym Cichem pisze „Tygodnik Podhalański” nr 49 2008. ● Ten sam szeroko czytany „Tygodnik” w swoim Who is Who zamieścił ostatnio treściwe biografie Jerzego Mitkiewicza (18 września), Krystyny Salygi (20 listopada) i Ryszarda Drągowskiego (27 listopada). Obaj panowie są już 80-latkami, Ryszard zbliża się nawet do dziewięćdziesiątki. ● W „Taterniku” 1/1986 zamieściliśmy ilustrowaną zdjęciem notatkę o wspinaczkach młodego Amerykanina, który w wieku 17 lat stracił obie nogi. Prof. dr Hugh Herr, bo o nim mowa, ma obecnie 44 lata i wykłada na politechnice w Massachusetts. Trzy lata temu w Dolomitach przeszedł w towarzystwie dwóch niewidomych drogę o trudnościach VI – gdyby nie film z wspinaczki, nikt by im w to nie uwierzył. W świecie znany jest jako konstruktor coraz to doskonalszych protez. Na jego patencie ustanawiano rekordy na niedawnej Paraolimpiadzie w Pekinie, ostatnio zaprezentował nowy typ elektronicznie sterowanej protezy, w pełni zastępującej brakującą kończynę. „Sztuczne nogi będą szybsze od prawdziwych” – mówi.

Redakcja i teksty (z wyjątkiem osobno sygnowanych): Józef Nyka, ul. Klauzyny 12 m 79; 01-684 Warszawa. Tel. [48] 22-833-07-75; e-mail <jozef@nyka.home.pl>. P.T. Seniorzy proszeni są o współpracę. „Głos Seniora” nie czerpie materiałów z krajowych czasopism górskich ani z bliskich tematycznie polskich stron internetowych. Pisemko rozprowadzane jest bezpłatnie, numer bieżący można pobrać do druku z adresu internetowego <www.nyka.home.pl/pub/gs200811.pdf>; ostatnie numery są dostępne w internecie na stronie: <www.nyka.home.pl>.

sowa Przełęcz (ok.2140 m) (...), ani wreszcie żaden z wierzchołków (2116 m. i 2095 m.) Opalonego Wierchu (...) – nie zostały bynajmniej przez J. Grzegorzewskiego i tow. zwiedzonymi” („Taternik” 1910 s.6). A przecież Chmielowski nie tylko że sam pamiętał rok 1894, to jeszcze miał pod bokiem uczestników historycznej wyprawy, choćby jej przewodnika Bartusia Obrochtę. A wracając do trasy Grzegorzewskiego, wnosić wolno, że manewr Bartusia nie był wielki i polegał na mądrym ominięciu groźnych trawersów za Siodłem Świstówki i przeprowadzeniu grupy wprost przez grzbiet tuż na prawo od Kopy 1858 m.

Nasz drugi pytajnik dotyczy Miedzianego, którego pierwszym zdobywcą miały być według WEGA w r.1848 Teodor Tripplin (tom III s.503). Jeśli chodzi o Tripplina, to był to plagiator, bez żenady żerujący na dorobku poprzedników i do cna niewiarygodny. Można mieć wątpliwości, czy w ogóle Tatrę zwiedzał. Nazwa „Miedziane” u niego nie występuje, opisuje tylko wspinaczkę na górę Siwarnię – co z Miedzianem kojarzy Jacek Kolbuszewski w „Taterniku” 2/1961 (s.80): „Następnego dnia po przyjeździe do Morskiego Oka dokonał on wejścia na wierzchołek góry nazwanej przezeń Siwarnią, pod którą należy rozumieć najprawdopodobniej Miedziane.” Siwarnia to oczywiście częstsze w Tatrach góralskie Siwarne, Sywarne, Siwarowe odnoszone do zboczy porośniętych sywarem czyli bujną trawą (na wschodnim Podhalu np. trzcinnikiem owłosionym). Tak jeszcze ok. 1950 r. nazywali górale zboczce Wołoszyna nad „Soczkiem”, inne Sywarne było na stoku Opalonego Wierchu nad lejem Głębokiego Żlebu. Nad identyfikacją „Siwarni” można by się głowić, gdyby Tripplin w ogóle wszedł na jakiś szczyt. W dniu 17 czerwca nie miałby jednak na to czasu, a jego wzmianka – czego historycy dotąd jakoś nie zauważyli – jest w całości plagiatowym „zapożyczeniem” z wydanej parę lat wcześniej książki Kazimierza Wodzickiego „Wycieczka ornitologiczna w Tatrę”. Porównajmy oba fragmenty:

Wodzicki 1851 (s.17–18). Szczyt ma wysokości 4800' lecz droga tak przykra, że na rękach i nogach przez godzin trzy doszedłem do połowy; tu rósć zaczynała kosodrzewina (...) i gdym się dostał na wierzch, padłem jak nieżywy, z ubiorem zupełnie potarganym. (...) Ze szczytu Siwarni widok przepyszny: na przeciwko przedstawiają się węgierskie góry Kolba wielka i mała (...) dalej Murań, według mego zdania najokazalsza; z trzema wierzchami, (...) opasana w połowie szarciem granitowym, stoi nad wsią Jaworzyną, Barona Paloczay, w której wielkie znajdują się fryszerki, hamry i walcownie; znać tę produkcją żelaza na lasach.

Tripplin 1856 (t.I s.153–154). Ze szczytu góry Siwarni, na który wdrapaliśmy się z niesłychaną trudnością na czworakach, okute mając w żelaza obuwie, widok tak pyszny, żeśmy przestali żałować doznanych znojów. Naprzeciwko Siwarni sterczą węgierskie góry, mianowicie Kolibaho Wielki i Mały, okazywały Murań z trzema potężnymi wirchami, opasany szarciem granitowym. Nawet stąd widać było wysokie kominny i gęste kłęby dymu hut Jaworzyńskich, należących do hrabiego Paloczaja.

Murań to u Wodzickiego Tatrę Bielskie, górę Miedziane wymienia on dwa razy bez związku z Siwarnią. Oczywiście Jaworzynę z nikąd widać nie było, na dodatek nie było w niej żadnych wysokich kominów. Ale jakby się nie miały sprawy z Tripplinem, nie jemu przysługiwałby tytuł pierwszego uwiecznionego w druku zdobywcy Miedzianego. W swoich przewodnikach od r. 1971 wymieniam w tej roli Franza Herbicha, austriackiego alpinistę, który podaje nazwę „Miedzianej-Góry” a swoje wejście na nią 9 września 1832 r. wzmiankuje dwa lata później w naukowym piśmie botanicznym (por. „Taternik” 1974 s.121). Pewien problem stanowi to, że nazwa Miedziane była do początku XX w. rozciągliwa i mogła obejmować też Szpiglasowy Wierch. Na szczęście Herbich w innym artykule sam ją definiuje, pisząc, że chodzi o grzbiet rozdzielający doliny Pięciu Stawów i Morskiego Oka.

Nieścisłości i błędy w dziełach encyklopedycznych warto nie tylko zaznaczać na marginesach, ale także sygnalizować ogółowi czytelników, z tych kart bowiem – jako pozornie ostatniego słowa – przenoszą się one najłatwiej do innych publikacji. Któreś z naszych czasopism górskich mogłoby wydzielić stały kącik erratowy, w którym tego typu materiały gromadziłyby się w jednym stałym miejscu. Poprawki ujmij wielkim dziełom nie czynią, gdyż ich autorzy sami nie mogą prowadzić szczegółowych badań i chcąc nie chcąc muszą się zdawać na ustalenia innych, a przy okazji także ich pomyłki.

Józef Nyka

SUBARU FREERAJDY CLIMBING TEAM

W dniach 8–11 listopada 2008 powstała nowa droga w dolinie lodowca Ngozumpa, w rejonie 2 Khumbu Himal. Linie wytyczono na północno-wschodniej – ponad tysięczmetrowej – ścianie Phari-lapchy (6017 m), nazywanej także Machermo Peak lub Longcha. Zespół w składzie Michał Król,

Andrzej Sokołowski i Przemysław Wójcik spędził trzy i pół dnia w ścianie, na zejście potrzebny był jeszcze jeden dzień. Na szczycie stanęliśmy 11 listopada o godz. 11.30 – przy pięknej pogodzie, która szczęśliwie towarzyszyła nam przez cały niemal pobyt w Himalajach. Drogę, liczącą ok. 1300 m długości, nazwaliśmy „Dzień Niepodległości” i wyceniliśmy na M7, WI 5+. Jej kwintesencją nie były jednak trudności techniczne, lecz zalegający na płytach skalnych śnieg typu cukier o nachyleniu 60–70 st. oraz kruszyna w górnej części ściany. Z całą pewnością jest to najpoważniejsza i najbardziej angażująca psychofizycznie droga w dorobku całego zespołu. Głównymi sponsorami wyjazdu byli: Subaru Import Polska i PZA, a sponsorami wspierającymi Direct Alpine, Regamet, Freerajdy oraz Klub Wysokogórski Zakopane. Obszerne omówienie wyprawy i wspinaczki, pióra Apoloniusza Rajwy, ukazało się w „Tygodniku Podhalańskim” nr 48/2008.

Przemysław Wójcik

CUD NA ŁOMNICY

Równo 70 lat temu, 22 listopada 1938 roku, wydarzył się na stokach Łomnicy pierwszy w Tatrach poważny wypadek lotniczy. Był to czas gorący politycznie i może dlatego nasze media ledwo musnęły go uwagą. „Wierchy” (1938 s.240) i „Taternik” (1939 s.82) poświęciły mu po kilka wierszy, podobnie było z prasą codzienną. Korzystając z okrągłej rocznicy przypomnijmy więc przebieg tego zdarzenia – według pism wychodzących wówczas na Słowacji, a przypomnieć je warto tym bardziej, że mimo jednej ofiary śmiertelnej katastrofa miała w sobie coś z cudu. Oto notatka z dwumiesięcznika „Die Karpathen” z 1 grudnia 1938 roku (s.109–110):

Pierwsze nieszczęście samolotowe w Tatrach Wysokich. We wtorek, 22 listopada, po południu do hotelu górskiego Pod Kozicą w Dolinie Zimnej Wody przyszedł dwaj ranni piloci, którzy zameldowali, że prowadząc samolot spadli w Dolinie Małej Zimnej Wody i że proszą o pomoc lekarską dla trzech pasażerów maszyny. Gospoda połączyła się telefonicznie z punktem ratowniczym KČST w Nowym Smokowcu i niebawem zjawił się ordynator szpitala w Nowym Smokowcu dr Hoppe. Obandażował on obu pilotów po czym grupa ratowników wyruszyła w górę do rozbitego samolotu. Leżał on na wysokości ok. 2000 m na wschodnim zboczku Małej Zimnej Wody, w muldziej, która opada do Doliny Małej Zimnej Wody z siodła pomiędzy Łomnicą a Łomnicką Granią. Muldź tą wiedzie normalna droga przez tzw. Łomnicką Próbę. Samolot tkwił w poprzek żlebu, nosem ku południowi, wklonowany w zwężenie żlebu powyżej Łomnickiej Próby. Dwaj ciężko ranni towarzysze zostali prowizorycznie opatrzeni i ekipa ratownicza sprowadziła ich i dostarczyła do szpitala w Spiskiej Sobocie, piąty członek załogi został wydobyty spod samolotu już martwy. Według relacji pilota do wypadku doszło w następujący sposób: Samolot, trzysilnikowy Fokker, wystartował po 11 przed południem przy pięknej pogodzie z lotniska w Nowej Wsi Spiskiej i miał lecieć do Pragi. W dolinie Popradu dostał się w mgłę, okrywającą kilkoma warstwami dolinę i zasłaniającą góry. Z dotąd niewyjaśnionych powodów przestała działać igła magnetyczna a do tego jeszcze zepsuł się przyrząd do mierzenia mgły. Samolot stracił kierunek, starał się tylko wyjść ponad warstwę mgieł. Był na wysokości ok. 1700 m i prowadzący pilot już sądził, że ma za sobą wszystkie niebezpieczeństwa, kiedy nagle przed nim wynurzyła się ściana skalna. Mimo natychmiastowego hamowania lewe skrzydło uderzyło w tę ścianę i nadłamało się. Pilot poderwał maszynę w prawo i w górę, samolot przesybywał w mgle nad serią ścian i grani skalnych i wpadł na pole śnieżne. Tam zaczął powoli zsuwać się bokiem, by wreszcie utknąć w przewężeniu żlebu. Pilot i jego pomocnik mieli tylko nieznaczne rany szpane i stłuczenia, siedzący za nimi obserwatorzy wskutek częściowego zniszczenia kabiny byli ranni ciężko, piąty wypadł z rozpekniętej kabiny i został zmiażdżony przez maszynę. Okazało się, że samolot naleciał na Ścianę Stawiarńską Doliny Pięciu Stawów w jej wschodniej – wyższej i stromszej polaci. Stamtąd poszybował lukiem ponad zachodnimi zboczami Łomnicy i wklonował się w wyżę wspomnianą depresję. Trzeba go będzie rozebrać i znieść, ponieważ transport większych części w dół Doliny Małej Zimnej Wody nie byłby możliwy.

Tyle „Die Karpathen”. Ten sam tekst podały też tygodniki spiskie, a w sensacyjnej formie wychodzące na Słowacji gazety. Do literatury polskiej wnosi go Głos Seniora w 70 lat po tragicznym choć w miarę szczęśliwie zakończonym zdarzeniu. (*jin*)

A CO POD CHOINKĘ?

Zbliżają się święta a wraz z nimi problem upominków. Organizatorom i kibicom wypraw w najwyższe góry świata polecam bardzo inspirującą monografię Tamotsu Nakamury, wydaną m.in. w Niemczech (2008 r.) pod tytułem „Die Alpen Tibets. Östlich des Himalaya”. Niemiecką edycję przygotowało wydawnictwo Detjen z Hamburga. Cena 49,95 euro. Książka omawia w szczegółach trzy pasma skomplikowanego systemu gór chińsko-tybetańskich. Najobszerniejszy rozdział dotyczy wschodniej części pasma Nyainqentanglha (wg WEGA, wschodnia część Transhimalajów) z najwyższym Sepu Kangri (6956 m), znanym z wypraw Ch. Boningtona a zdobytym przez C. Buhlera i M. Newcomba w 2002 roku. Kolejny rozdział poświęcony jest „Krainie gębo-